

Przeszłość a historia. O poetyce powieści historycznej

Marek Hendrykowski

ORCID: 0000-0002-7180-9902

Powieść o minionych dziejach wyczarowana z natchnienia jest jak latający dywan. Potrafi unieść i przenieść każdego, kto się jej powierzy, w dowolne miejsce i czas. Zarówno tego, kto ją pisze, jak tego, kto czyta.

* * *

Nosi się ją w sobie, przeżywa, myśli i miesiącami rozsnuwa. Od stuleci wielcy pisarze, siedząc przy swoich misternych warsztatach, niczym tkacze tworzą ją jak gobelin. W robocie nad nią nic nie jest dane od ręki, natychmiastowo. Taka powieść powstaje latami. Najwięksi noszą w sobie i piszą przez całe życie zdanie po zdaniu, rozdział po rozdziale jedną i tę samą – ciągle od nowa, nieustannie przekraczającą swoje ramy i nigdy nie mającą końca.

Było, czy nie było? Nie wiadomo, czy naprawdę było. Było. Ale czy rzeczywiście? Na pewno? Nic podobnego. Może tak, a może nigdy do tego nie doszło, może wcale nie miało miejsca? Nie wiemy. Zdarzyło się, czy nie? Powieść historyczna ma swoje prawa. Jej żywiołem jest konfabulacja. Rozpoznaje minione dzieje, wydarzenia i losy nie dla nich samych, lecz po to, by je przemienić w opowieść. Co było, a nie jest, w tym przypadku właśnie pisze się w rejestr.

Nieopisane dzieje. Próbując dać ich obraz, nie wiemy, czy zdołamy o nich opowiedzieć. Wiemy natomiast, że warto opowiedzieć, sięgając raz jeszcze do zapomnianych zdarzeń, spraw i po-

staci i na nowo odkryć rozmaite osoby i fakty. Zarówno nieznanne, jak i powszechnie znane. Wydobyte po raz pierwszy na jaw bądź oświetlone inaczej niż czyniono dotąd, jedne i drugie zbliżają nas do poznania nieretuszowanej prawdy o przeszłości.

Kontredans historii z przeszłością to taniec o wielce skomplikowanej choreografii. Nie jest bowiem tak, albo bywa jedynie rzadko, że zwracając się ku minionemu i konfrontując z nim swoje tu i teraz, ludzie chcą zapoznać się z całym, niekiedy bardzo ciężkim i kłopotliwym bagażem prawdziwości, którą przeszłość z sobą niesie.

Nie wolno zapominać o terapeutycznej funkcji historii, która – ileż razy tak się zdarzało – pomaga leczyć traumy straszliwych przeżyć i (nie)ludzkich dziejowych doświadczeń. Historia nieraz od nich uwalniała i przynosiła ulgę. Mechanizm ludzkiej pamięci jest tak ustawiony, że wygładza to, co przeżyte. Między rokiem 1870 a 1920, w burzliwych i dramatycznych dziejach owoczesnych Wielkopolan wszystko potoczyło się nieco inaczej, niż o tym powiadają. Z trzech co najmniej powodów.

Po pierwsze, w sekwencyjnym rozłożeniu w czasie, z wolna, niespiesznie, we własnym tempie. Po wtóre, niewidocznie, za kulisami lokalnych dziejów zmagają o przetrwanie pod pruskim zaborem. Po trzecie, po cichu – tak bardzo, iż wielu skłonnych było sądzić, że przez pół wieku nic się oprócz strajków szkolnych i afery z wozem Drzymały pod pruskimi rządami nie wydarzyło.

Nieprawda i jeszcze raz nieprawda. Dziejowy dramat rozgrywa się wszędzie. Nie tylko tłumy ludzi na ulicach przesądzają o biegu dziejów i nie tylko huk armat czy bicie dzwonu Zygmunta określa doniosłość wydarzeń.

* * *

Pozostaje jeszcze istotna kwestia odpowiedniego nastrojenia instrumentów. Dzieje Polski rozbrzmiewają zazwyczaj w dwu przeciwstawnych rejestrach: maior i minor. Jeden z nich naszymi militarnymi triumfami, przewagami i wiktoriaми, to Cedynia, Grunwald, Wiedeń, bitwa warszawska, Monte Casino, a oprócz nich Budziszyn, Psków, Chocim, Gwoździec, Obertyn, Byczyna, Kircholm, Biała Cerkiew, Kłuszyn, Beresteczko, Kalnik, drugie Parkany, Zieleńce. Te surmy bojowe i szum skrzydeł husarii słyszać raz głośniejsz, raz słabiej, ale nie to wydaje się najbardziej istotne.

Drugi z tonów brzmi ponuro, ostinato: najazdy, potopy, liberum veto, rokosze, rozbiory, zabory, kolejne insurekcje, somosierry, sandominga, zakończone klęską powstania, przegrane bitwy i cmentarnie smutne miesiące: począwszy od stycznia po grudzień. Trzeba przyznać, że w dziedzinie martyrologii („o, o, wybili, panie, tu wybili, trzonowego też wybili”) osiągnęliśmy efekty znacznie przewyższające średnią światową.

Czy w zbiorowej świadomości znajdzie się trochę miejsca na inną tonację i odmienny od powszechnie przyjętych wyobrażeń i przeświadczeń obraz tego, co zawdzięczamy naszym przodkom i z czego my, Wielkopolanie, należący do następnych pokoleń się składamy?

* * *

Za widnokręgiem pamięci mocował się z jutrem miniony świat tych, co odeszli i od dawna ich nie ma. Marcinkowski, Szczaniecka, Chłapowski, Wawrzyniak i niezliczone tysiące innych. Zwykli, żyjący jak cała reszta mieszkańcy tych ziem i zwyczajne wydarzenia, w których wszyscy tak czy inaczej – każdy z nich na swój sposób – niegdyś uczestniczyli. Odeszli dawno temu. Nie opowiedzą nam już o sobie, musimy, o ile to możliwe, zrobić to za nich: sprawić, by umarli do nas przemówili.

Niepozorna wielkopolska zwyczajność. Szarość. Bładoszare, szarobure płótno zwykłego codziennego życia, jakie od pokoleń niespiesznie pulsowało własnym rytmem w tych stronach. Nic nadzwyczajnego: wczoraj, zawczoraj, ongiś. Stęszew, Ostrzeszów, Poznań, Szamotuły, Bnin, Gniezno, Ujście, Czarnków, Biskupice, Wolsztyn, Podstolice, Pyzdry, Borucin, Manieczki, Skalmierzyce, Wylatowo, Wymyślin, Kwilcz i tym podobne.

Odwieczna zwykłość bytowania. Czy to miałby być klucz do napełnionej postaciami i przeróżnymi zdarzeniami sagi, którą masz przed sobą? Klucz – ani taki sobie zwykły, ani uniwersalny – zapewne to nie jest. Ale dobrze naoliwiony zamek w drzwiach do niej prowadzących, wraz z solidną ościeżnicą, w jakiej je osadzono, z pewnością tak.

* * *

Przeszłość nie znaczy historia. Nie było, nie ma i nigdy nie będzie między nimi znaku równości. Przeszłość nie jest historią. Minione zawiera w sobie nieporównanie więcej niż jakakolwiek opowieść o nim. Na przeszłość składa się nie wyimek z niej wydobyty, lecz pozbawiona granic całość przeszłych dziejów: bezkresne continuum tego, co było i co się ongiś, dawno i niedawno temu, na świecie wydarzyło: z udziałem ludzi i bez nich.

Historia, mówiona, pisana, wyrzeźbiona, wykuta w kamieniu, wyszyta, namalowana, zainscenizowana, sfilmowana, każda historia, jakakolwiek by ona była, jest zatem określoną wersją arbitralnie wybranej i zaprezentowanej części przeszłości. Dotyczy jej, czerpie z niej treść, nadaje sens, próbuje po swojemu opisać i przedstawić, lecz – powtórzmy raz jeszcze – nigdy nie jest nią samą.

Powaga przeszłości jako czasu dokonanego dopomina się i żąda, aby jakakolwiek historia nigdy nie uzurpowała sobie tego, by ją zastąpić i zamienić się z nią miejscami w przestrzeni zbiorowej świadomości.

Historia i pamięć. Tylko dziecko zanurzone w strumieniu własnych przeżyć uważa, że cały istniejący wokół niego świat składa się z tu i teraz. My ze smartfonem w rękę poniekąd też tak mamy. W każdym razie wielu z nas tak się wydaje. Dzisiejsza buńczuczna nowoczesność próbuje, lecz nie potrafi całkiem odciąć się od tego, co minione. Czy tego chcemy, czy nie, przeszłość towarzyszy nam nieodstępnie. Po prostu jest z nami, lecz trwa bez nas.

W przeciwieństwie do niej, historia nie istnieje dopóty, dopóki się jej nie opowie, nie napisze, narysuje, namaluje, wyrzeźbi, sfilmuje, ukaże na scenie – przeniesie we współczesność, nadając

określony kształt nieprawdziwemu bądź prawdziwemu wyobrażeniu tego, co się ongiś wydarzyło. Historyk robi to inaczej niż pisarz. Z racji uprawianego przez siebie zawodu powinien zajmować się wyłącznie faktami.

Inaczej z powieścią historyczną, która ma to do siebie, że nie musi się sztywno trzymać protokołów minionego czasu. Nie oznacza to jednak bynajmniej, że jej autor ma prawo lekceważyć albo przeinaczać fakty. I historyk, i powieściopisarz obaj poszukują prawdy, rekonstruują przeszłe zdarzenia i realia, po swojemu bazują na nich, próbując połączyć je w całość.

* * *

Fakty dlatego pozostają faktami, że są niczyje. Wiemy o nich lub nie, ale są. Każdy z nich, wywołany w dowolnym momencie, podlega weryfikacji. Coś miało niegdyś miejsce albo nie. Nie podobna mieć „swoich” faktów. „Swoje” fakty przestają być faktami. Nawet, gdyby powtarzać je tysiące razy, fabrykować na własny bądź czyjkolwiek użytek, powoływać do społecznego istnienia, usilnie kreować i powielać w nieskończoność. Przeszłość to Wielka Nieobecna. Dzieje minione same się nie obronią; muszą to sprawić ludzie, którym droższa nad wszystko jest możliwie cała, czytaj: pełna, prawda o niej.

* * *

Powieść historyczna nie składa się z samych faktów. Jej autor zachowuje przywilej, więcej nawet, święte prawo do tego, by zmyślać. Nie znaczy to, że kłamie. Z faktografią minionego, do której powieść historyczna raz po raz się odwołuje – wszelako bez nadmiernych serwitutów i ograniczeń – wiąże ją szczególna, dość swobodna relacja.

Beletrystyka poświęcona minionym dziejom angażuje fakty dla własnych celów, lecz z założenia nie ogranicza się wyłącznie do nich. Za to chętnie korzysta z przysługującego jej prawa do różnych odstępstw i literackich hipotez. Odcedzone i w stu procentach wydestylowane fakty nie są obiektem jej zainteresowania. O wiele bliższy morfologii procesów zachodzących w tej odmianie powieści – rzekłbym nawet że bez porównania bliższy temu, co ją napędza – okazuje się apokryf.

Powieść historyczna doskonale czuje się i odnajduje w żywiole apokryfu. Dzięki niemu wolno jej omal wszystko: konfabulować, wypełniać puste miejsca, zmyślać, domniemywać, kluczyć, powątpiewać i całkiem wątpić, transformować, nadawać scenom i postaciom historycznym odmienną ważność, znaczenie i ekspresję: zaskakiwać rewoltującym ujęciem, ukazywać „po swojemu”, w innym niż powszechnie akceptowane i obecne w zbiorowej świadomości świetle, krążyć pośród tego, co dotychczas było wiadomo, by wyjść naprzeciw temu, co w minionym nadal otwarte, niejasne, niezbadane, niewiadome.

Przeszłość dla każdego z dziejopisów jest wyzwaniem. Tworzenie jej wyobrażeń wymaga od śmiałości odwagi. Zadanie z gatunku najtrudniejszych i szczególnie niebezpiecznych. Towarzyszy mu wielkie ryzyko. W postaci ekstremalnej owa wyprawa za horyzont dziejów oznacza taniec nad

przepaścią niepoznawalnego. Każdy jego krok wykonywany jest na linii zaczepionej na jednym końcu o ustalone i weryfikowalne, a na drugim – o prawdopodobne i niewykluczone.

Wciągająca gra, w której bierzemy udział, toczy się przez cały czas o to samo: zajrzeć w przeszłość, przeniknąć ją, rozpoznać, odsłonić, rozświetlić i wydobyć na jaw jej tajemnice. Umiejętności historyka i pisarza powieści historycznej zostają tu poddane ostatecznej próbie. Pożądanym rezultatem jest dzieło poświęcone temu, co odległe i minione, lecz dzięki ich zabiegom i nieustrudzonym wysiłkom wskrzeszone na nowo i ocalone od zapomnienia.

* * *

Autorskie pragnienie prawdy ma swój rewers. Jest nim obawa przed nieprawdą. Autor historyczny z prawdziwego zdarzenia zawsze pamięta, że ma się nieprawdy wystrzegać. Zmyślać, owszem, lecz nie kłamać. Kłamstwo jest ci surowo wzbronione. Nie zapominaj też, że słowa i obrazy, które z takim trudem dobierasz i których poszukujesz, nie są ani czymś niezastąpionym, ani definitywnym, choć się niekiedy takimi wydają.

Uchylając po coś wieko przeszłości, wywołując duchy tych, co odeszli, roztrząsając ich losy i poczynania, czynisz to zawsze z myślą o żyjących. Wszelka historia jest opowieścią, narracją, przedstawieniem, ukazaniem, *ergo* czymś – mniej lub bardziej osobistym subiektywnym, z natury swej zatem nieobiektywnym – wyobrażeniem, wykreowanym *ad oculos et ad usum posteris*¹. A ty jesteś tym, który to sprawia.

Im bardziej starasz się obraz przeszłości przybliżyć i uczynić wyobrażenie w nim zawarte plastycznym w oczach adresatów, tym bardziej przenikasz do wnętrza opowiadanej historii i stajesz się jego częścią. Obiektywizm, do którego prawo niejednym byłby skłonny sobie uzurpować, nie może być zatem uznany w żadnym razie za jej atrybut. Co najwyżej za ideał, ku któremu autor przedstawienia na różne sposoby próbuje się zbliżyć, lecz nigdy nie zdoła go ostatecznie osiągnąć.

* * *

Performatywne właściwości historii udostępniają przeszłość, modelując ją na bardzo wiele możliwych sposobów. Zarówno godziwych, jak i nagannyh. Znaki (reprezentacje faktów), których do tego modelunku użyto, mogą adekwatnie przedstawiać minioną rzeczywistość bądź też ją zniekształcać, podmieniać, zastępować.

Wie o tym zarówno wytrawny historyk, jak i pisarz. Obaj tworzą z wyobraźni. To dzięki niej poczyna się i w końcu wyłania określona wizja czasu przeszłego, której są autorami. Jeden i drugi kojarzą z sobą minione wydarzenia i postaci w opowieść o nich. Ukazują i wiążą fakty, układając je w prezentowaną historię.

¹ *Ad oculos et ad usum posteris* – łac. naocznie i na użytek potomnych.

Temat niby ten sam. Ale nie jego opracowanie, wykonanie, aranżacja. W czym tkwi różnica? W sposobie podejścia, jak się wydaje. W odmienności poetyki, za którą stoi obrany – taki a nie inny – sposób prezentacji i wyjaśnienia przeszłości. To, co w staraniach historyka zmierza ku jednoznaczności, w wyobraźni autora historycznego całkiem odmiennie otwiera się na wieloznaczność. Ta sama przeszłość przedstawiona w innym świetle jawi się całkiem inaczej.

* * *

Żył sobie dawno, dawno temu szkocki władca imieniem Macbeth, którego dramatyczne losy z pewnością warte były opisanie. Nic więc dziwnego, że się go w końcu doczekały. Obrazom zamierzchłych krwawych wydarzeń zreferowanym w kronice Raphaela Holinsheda niewiele można zarzucić tak długo, jak nie zapoznamy się z królewskim dramatem Williama Szekspira. Czy tamta uprzednia ich wersja została w efekcie tego przepisania pozbawiona waloru wiarygodności?

Skądże! Odnajdujemy ją zarówno u kronikarza, jak i u dramaturga. Jeden i drugi starali się być wiarygodni, ale zgodzimy się, że wiarygodność ich obu bardzo się różni. W procesie Szekspirowskiego rewrityngu ostał się temat, zarys intrygi ówczesnych wydarzeń, ich bohaterowie, charakter. Wszystko inne, przejęte od Holinsheda i Boece'a², pod piórem geniusza ze Stratfordu uległo głębokiej metamorfozie. Czy mamy wyciągnąć stąd wniosek, że zapożyczona od Holinsheda historia Makbeta w rezultacie swego nowego autorskiego opracowania straciła na wiarygodności? Wolne żarty.

* * *

W nawigacjach służących żegludze wyobraźni historycznej, o której tu mowa, zwodnicza i w sumie nieprzydatna okazuje się logika dyktowana przywiązaniem do dwuwartościowej ortodoksji. Same fakty i tylko fakty *versus* zmyślenie. Fikcja (czytaj: nieprawda) *contra* prawda. Żadnego poruszania się pomiędzy i wędrówek prowadzonych na własną rękę po strefie przygranicznej, a tym bardziej przechodzenia przez zieloną granicę na drugą stronę. Żadnych dedukcji i mglistych domysłów.

No dobrze, zareplikuje ktoś, ale koniec końców to nie wszystko jedno. Wersja wersji nierówna. Ujęcia oparte na prawdziwych przedstawieniach przeszłości w końcu dzieli coś od wierutnej bzdury i pospolitego pseudohistostycznego łgarstwa. Musi istnieć jakaś granica między tym, co faktyczne, a tym, co zmyślane. Oczywiście granica taka istnieje. Pisząc o przeszłości, powołując do symbolicznego istnienia własną historię na jej temat, nie wolno dowolnie żonglować faktami. Obowiązuje rzetelność i surowa dyscyplina w ich ukazywaniu.

W przypadku historyka z pewnością tak, ale czy na pewno w odniesieniu do autora powieści historycznej? A któż nam z pełną odpowiedzialnością zaręczy, że owa stworzona przez niego, wywodząca się było nie było ze zmyślenia, wyobrażona fikcja osnuta na kanwie minionych

² Kronikarz Raphael Holinshed mniej więcej trzy dekady później przepisał na nowo wersję swego poprzednika Hectora Boece'a spisaną w *Historia Gentis Scotorum* (1527).

dziejów, mimo iż została zmyślona, nie kryje w sobie prawdy, której nie można potwierdzić (ani też jej zaprzeczyć) w świetle znajomości dostępnego zbioru faktów, jaką dzisiaj dysponujemy?

* * *

Nie-fikcja oto żywioł macierzysty, z istoty przynależny duchowi powieści historycznej. Przypisany też jej autorowi, krążącemu wyobraźnią wokół znanych i mniej znanych autentycznych postaci i wydarzeń przeszłości. Fikcja zatem, czy nie? Ależ fikcja! Oczywiście, że ona. Fikcja epicka, poetycka, dramatyczna, teatralna, malarska, radiowa, filmowa, telewizyjna, komiksowa, fikcja gier elektronicznych etc. śmiało sięgająca i wykraczająca poza horyzont tego, co ustalone i co wiemy. Taka jednak, której nie mogą zaprzeczyć, ani obalić ogólnie znane fakty. Choć, jak z samej nazwy przecież wynika, fikcyjna, a więc nawykła do tego, by przedstawiając to czy tamto, na potęgę zmyślać, ukazując minione, nie jest wszelako nic gorsza od rezerwuaru zaszłości i rejestru twardych faktów, do których istnienia się odwołuje.

* * *

Pożółkłe strony dokumentów dawno temu pokrył kurz niepamięci. Niepamięć bywa groźna, bo złudna. Na niej – bez uważnego i pokornego wnikania w nie – karmiły się i nadal karmią zbiorowe konfabulacje. Z amnezji owej wyrastało nie raz, nie dwa usłużne zmyślenie. Choć opowiadało ono historie o historii, historią (pozwólmy sobie w tym miejscu na odstępstwo, czytaj: rzetelną wizją przeszłości) *sensu stricto* nie było. Zastępowało ją natomiast, stopniowo wypierając z pola widzenia rzeczywisty przebieg minionych zdarzeń.

Taka historia jest jak fałszywy rodowód, sporządzony na użytek zainteresowanego, który pragnie dostojnego wizerunku i chwały dla własnej osoby, a nie prawdy. Sfalsyfikowana historia fałszuje i zakłamuje rzeczywistość, podsuwając zainteresowanym w zamian jej surrogat, iluzyjny zamiennik. Marny to pokarm dla zaspokojenia ciekawości czytelnika. Stać nas na o wiele więcej.

Otwiera się tedy pole do popisu dla ambitnych historyków i pisarzy historycznych z prawdziwego zdarzenia. Dzięki ich staraniom i nieocenionym trudom ma szansę powstać wizja nieupiększona, ale za to znacznie bliższa prawdzie. Wizja, o której coraz bardziej i bardziej zapominano, kreując legendy na użytek władcy bądź też lekcję przykrojoną *ad usum Delphini*, przeznaczone dla ogółu jego poddanych oraz diatwy szkolnej, usilnie heroizując czyny uczestników i przyozdabiając laurem ich bohaterskie skronie. Taki właśnie, usuwany zazwyczaj w cień, alternatywny obraz przeszłości czeka cierpliwie na swoje odkrycie.

* * *

Szkoda, że historycy rzadko zapuszczają się na tereny fikcji historycznej, uważając owe, domniemane i niepewne, uboczne terytoria za manowce prawdziwie naukowych badań. Jednak dokład-

nie to samo można powiedzieć o niechęci autorów powieści historycznych do poruszania się po brukowanych, bitych drogach przeszłości, z dawna pokrytych trwałą nawierzchnią faktografii.

Co do mnie, uważam, że jedni i drudzy mogliby obopólnie skorzystać na wymianie drogowych atlasów wyobraźni, którymi zwykle się posługują w trakcie swych peregrynacji. Nie ucierpi na tym *per saldo* ani powaga uprawianej akademicko nauki historii, ani fantazja pisarska, dla której rzeczywiste zdarzenia czasu minionego stanowią li tylko odskocznnię umożliwiającą szybowanie historycznej wyobraźni.

* * *

Fakt. Fakt faktem – powiadają. Było, czy nie było? Zdarzyło się, czy nie? I jak do tego doszło? Odwieczny dylemat nieprawdy i prawdziwości. Weźmy na przykład takie pytanie: przebywał kiedykolwiek Piłsudski w Poznańskim, czy nigdy w te strony się nie zapuszczał i nie zawitał, skoro nie byłby tam dobrze przyjęty ani mile widziany, a to ponoć dlatego, że kiedy należało, nie pomógł powstaniu? Bujda to, czy fakt historyczny? Prawda czy nieprawda? Warto czegoś więcej się dowiedzieć, a wówczas...

Nieprawda. Piłsudski bywał w Wielkopolsce i to nieraz, ale przez owo zmyślenie zakamuflowane jak gałązki jemioly ukryte w listowiu przeszłości przeziara jednak coś faktycznego. Prawdą jest bowiem z pewnością to, że nie miał w tych stronach zbyt wielu zwolenników, za to mnóstwo oponentów. Przynajmniej do pewnego czasu. Część z nich zmieniła złe o nim zdanie dopiero jakiś czas później, gdy się tutaj zjawił i pewnego grudniowego wieczora wygłosił na zamku przepiękny toast o Wielkopolanach.

Cóż począć, wszelka nieprawda pasożytuje na prawdzie. Czerpie z niej, korzysta z jej soków, zaczerpnięć i umocowań w gruncie minionego czasu. Dlatego wymaga nieustannej weryfikacji. Prawdziwie – to znaczy zasługując na wiarygodność. W osądzie tym, zwłaszcza gdy przynosi rewizję, liczą się fakty. Same fakty wydobyte na użytek zbiorowej pamięci. A fakty w tym przypadku nie były zbyt pilnie studiowane. Raczej lekceważone, pomijane lub dowolnie przykrawane do czyichś doraźnych potrzeb.

Przypadek niechęci żywionej przez poznaniaków wobec Józefa Piłsudskiego jest jednym z niezliczonego mnóstwa temu podobnych, przez pokolenia utrzymujących się matrycowych przeswiadczeń. Sreparowana „historia” wypiera przeszłość, w kółko powtarzana i replikowana staje się w końcu „powszechnie znanym faktem”. Takich obecnych w zbiorowej świadomości pseudohistorycznych „faktów” kursuje wiele, bardzo wiele.

Ten związany z Piłsudskim, z czasem uznany przez ogół za oczywistość, przeobraził się w na poły mityczny aksjomat i pewnik: jak wszyscy wiedzą, naczelnik państwa i marszałek nigdy w Wielkopolsce się nie zjawił. Wiadomo przecież...

Sęk w tym, że nie wiadomo bądź też całkiem mylnie i źle wiadomo. A wtedy pospólna opowieść o zdarzeniach i dziejach nie buduje i nie wspiera, tylko zaczyna zawadzać. Zamiast spotkania

z własną przeszłością, która mówi coś istotnego o nas samych, nasz ewentualny osobisty kontakt z nią i bezpośrednio wejście okazuje się przesłaniać wyprężony na baczność, kłamliwie i sztucznie upozowany mit na koturnach.

* * *

Przeszłość nasza jest warta poznania przede wszystkim dlatego, że jest naszą własną. Nigdy dość dociekania i odkrywania swej przeszłości. Historia, jaką oferuje nauka oraz sztuka, może w tym bardzo pomóc. Pod warunkiem, że uznamy za prawdziwe (znaczy faktyczne) istnienie tych czy innych wydarzeń, które miały rzeczywiście miejsce, nie zaś przystaniemy na samym początku drogi, zgadzając się na podstawioną atrapę rzekomej realności minionego czasu oraz złudzenie, jakie ona wywołuje.

Historia w funkcji atrapy jedynie imituje to, co realne. Realna przeszłość zasłych wydarzeń i okoliczności, które im towarzyszyły, nie tylko ulega w niej zniekształceniu, lecz również prowadzi do mumifikacji wyobrażeń na jej temat. Gubi i zatracą przy tym wszelki smak i koloryt. Powoduje więc tak czy inaczej falsyfikację. Dobrze zdają sobie z tego sprawę pospół obaj: historyk i pisarz historyczny. Nie tylko oni jednak...

Wie o tym także propagandysta (nie mylić z propagatorem). Ten w swych propagandowych działaniach przy użyciu przekazów dotyczących przeszłości stosuje pozorację i kamuflaż. Posługuje się przy tym materiałem zmanipulowanych przez siebie faktualiów, traktowanych wybiórczo i instrumentalnie. W istocie zaś, żerując na ludzkiej niewiedzy, operuje złudną iluzją „faktów”, wywoływanych i wyciąganych niczym królik z cylindra dla osiągnięcia określonych celów. Jakkolwiek by patrzeć, wykorzystuje w tej propagandowej żonglerce nie fakty, lecz poddane uprzedniej obróbce, usłużnie spreparowane pod gotową tezę pseudofakty, użyte w funkcji faktograficznej namiastki.

Skutek? Skutki tej zawłaszczającej przeszłość perfidnej podmiany widać gołym nieuzbrojonym okiem. Zamiast relacji o faktach, do społecznego obiegu trafiały i nadal trafiają rozmaite faktoidy: podrabiające rzetelną relację o minionych dziejach wytwory czczej fantazji. W tego typu przekazach występują więc fakty i pseudoprawdy – w odróżnieniu od tego, co faktycznie miało niegdyś miejsce, to znaczy rzeczywistego biegu takich czy innych wydarzeń, z których każde pozostaje obiektem osobistych przeżyć i przedmiotem zbiorowych doświadczeń.

* * *

Dostępu do autentycznych śladów i w różny sposób utrwalonych notacji minionego prawdziwego życia sprzed stu i więcej lat – słowem, tego wszystkiego, co się w nim niegdyś naprawdę działo i dokonało – nam dzisiaj nie brakuje. Ich aktorzy, może nie wszyscy, to prawda, zadbali jeszcze za swoich dni, żeby pamięć o nich i o doniosłych zdarzeniach, w których brali udział, nie przepadła. Nie każdy jak Dezydery Chłapowski miał u schyłku życia swego Kalinkę.

Należąca do poprzedniczek i poprzedników, co tu byli i żyli, nasza wspólna przeszłość – zarówno przedstawiona, jak i nieprzedstawiona – ciągle istnieje i co rusz daje o sobie znać zapisana przez jej świadków i uczestników w rozmaitych archiwaliach, relacjach, wspomnieniach, fotografiach, filmowych obrazach dokumentalnych.

Na szczęście owe tak dla nas cenne zapisy nie zaginęły. Większość z nich istnieje w archiwach, kufrach i szufladach i nadal można do nich dotrzeć. Natrafiając na nie, należało tylko przyjrzeć im się uważnie i troskliwie zadbać, iżby na zawsze nie przepadły w piecu, młynie papierniczym czy na śmietniku i wtedy już całkiem nie poszły w zapomnienie jak owe tysiące naświetlonych obrazami przeszłości nikomu wtedy nieprzydatnych i uznanych za niepotrzebne taśm filmowych, z których kiedyś odzyskiwano srebro albo wytwarzano z nich grzebienie i spinki do włosów.

* * *

W tkaninie opowieści historycznej liczy się każda nitka, najdrobniejszy nawet ocalały do dziś szczegół. Ze świadomością, że szczegóły źle wybrane, mylnie podane, ugniecione w podręcznikową papkę bądź zamienione w pseudohistoryczną zalewajkę, nie tylko nie tworzą mitu, ale serwowane w tak lekkostrawnej i nijakiej postaci skutecznie go unicestwiają – wyposażony w taką świadomość zaczynasz wszystko od nowa.

Historia we wszelkich swych wydaniach i upostaciowaniach okazuje się testem minionej rzeczywistości: opowieścią rozsnutą wokół tego i o tym, co przeszłe i na zawsze już, realnie biorąc, nieobecne. Powtórzmy więc raz jeszcze – idąc śladem idei pisania historii pozostawionym przez wielkich polihistorów: Herodota, Ksenofonta, Tukidydesa, Tacyta, obu Pliniuszy, Swetoniusza, a po nich Micheleta, Burckhardta, Aszkenazego, Ariësa, Huizingę, Braudela, Gieysztorę, Geremka, Le Goffa, Modzelewskiego, Topolskiego, Sklara, White'a, Daviesa i innych – zdarzenia minione nie są równoznaczne z historią.

Historię się ustanawia, nadając jej wyraz zbioru przedstawień, by mogła zaistnieć. Przeszłość zaś istnieje, wydarzyła się, nie da się jej wymienić na inną, została niegdyś ustanowiona. Wbrew temu, co wyprawiali z nią i nadal wyprawiają różni władcy absolutni i totalitarni wodzowie, przeszłości nie sposób zmienić. Zachowując swą faktyczną prawdziwość, ma to do siebie, że – na całe szczęście – nigdy nie pozostaje tożsama z historią.

Jak to nie pozostaje? Przecież zadaniem historii jest ją ukazać, opowiedzieć o niej, przedstawić, zaprezentować, przybliżyć współcześnie potomnym, na ile to możliwe. Czyż nie? Jaka zatem właściwie przypada jej funkcja? Historią *tout court* staje się podejmowane indywidualnie i zbiorowo rozpoznanie przeszłości. Własnej i cudzej, bliskiej i dalekiej. Aliści zawsze uznanej przez kogoś za swoją w tym sensie, że bez wyjątku zawsze stoi za nią ten, co ją ukazał.

Tak traktowana historia, czy to w ujęciu jej badacza, czy też powieściopisarza, to rozważanie o minionym, podejmowane i toczone na użytek współczesnych z myślą o tych, co żyją tu i teraz i o tych, którzy przyjdą po nas.

Rekonstrukcja historyczna jest wyrazem – nigdy pełnym, całkowitym i ostatecznym – indywidualnego rozpoznania, wnikięcia w coś, co się niegdyś, *in illo tempore*, wydarzyło. Stanowi ona naznaczoną nieuchronnym subiektywizmem próbę odtworzenia przeszłości po latach i wiekach. Próbę z konieczności pełną luk – mimo ambicji i wszelkich wysiłków autora niedoskonałą, ułomną, naznaczoną niepewnością przedstawienia, jaka zwykle towarzyszy dotknięciu niedotykalnego.

Tylko tyle i aż tyle. Oprócz tego, czym materialnie i źródłowo w danym momencie dysponujemy, w jej szerszym intencjonalnym wymiarze, choć nie w osiągniętym kształcie, składają się na nią i współtworzą również czarne i białe plamy wydarzeń, spraw, ludzi oraz terytoriów pamięci, których nie dane nam było odkryć.

Otóż to, obecna nieobecność... Coś namacalnie bliskiego w odległym i dalekim. Szczęśliwie zachowany detal, list, dokument, fotografia – pojedynczy element mogący współtworzyć dowolnie obszerną całość. Przynależy do mozaiki jak kamyczek, który bez niej pozostaje tylko luźnym osobnym kamyczkiem. Ów ocalały fragment jest wszystkim, co mamy dzisiaj do dyspozycji. To bardzo wiele, a przecież prawie nic w stosunku do rwącej brzegi wezbranej rzeki zdarzeń, których powódź nieustannie zalewała istnienie naszych poprzedników.

* * *

Pozostaje nam jeszcze ustalić związek pomiędzy tym, co się niegdyś realnie wydarzyło i na równi realnie dzieje się w naszym teraz każdego dnia, a historią. *Distinguendum est*. Zaczniemy od wskazania fundamentalnej różnicy ontologicznej. Gotująca się i wydobywająca nieustannie na powierzchnię lawa codziennych zdarzeń, wraz z ich niecodziennością, podobnie jak zastygła magma czasu przeszłego sama w sobie nie jest historią.

Aby przeszłość przeistoczyła się w historię, potrzeba naszego udziału. Relację o zdarzeniach, ich prezentację, czyli opowieść zwaną historią tworzą i przedstawiają ludzie. To oni dostrzegają w nich coś znaczącego i układają w porządek logicznych przyczyn i następstw. Na własny użytek, a więc tak czy owak interesownie, z własnym zaangażowaniem, nigdy inaczej.

Nieodległe wczoraj i zamierzchłe zawczoraj są na równi warte odkrycia i poznania. Nie zostawiajcie wszystkiego historykom z poczuciem, że przedstawią wam prawdziwą przeszłość. Wiedzą oni, ile kryje się prawdy w zmyślonej przeszłości. Najbardziej świadomi przyznają, że mit historyczny (mit założycielski etc.) stanowi pasjonujący obiekt studiów nad czasem minionym.

Nie trzeba sięgać aż do czasów średniowiecza, by się przekonać, że dziejopisowie bywają często największymi łgarzami. Gdyby nimi nie byli, spisywaliby i podawali do wiadomości same fakty. Prymat w tych niekończących się łgarstwach dzielą zresztą pospołu z drużyną innych zawołanych konfabulatorów, którą stanowią pisarze powieści historycznych.

Pamiętajmy, że fakt, czymkolwiek by on był, jako rzeczywistość, która się wydarzyła, zaistniał – i w tym sensie na wieki istnieje – bez udziału grafów. Po prostu coś się gdzieś kiedyś realnie

wydarzyło, to jest faktycznie (czyli naprawdę) miało miejsce. Stało się. W rdzeniu owego „stało się” tkwi właśnie stałość. Fakty są faktami – powiadają. I zapewne mają rację.

Było, stało się – tak a nie inaczej niegdyś urzeczywistniło – a potem przeminęło z biegiem czasu w kolejnej odsłonie odwiecznej akcji, której nasi poprzednicy niegdyś, a my dzisiaj jesteśmy uczestnikami. „Stało się” ma jeszcze i tę kapitalną zaletę i właściwość, że można je poddać weryfikacji, czyli ustaleniu jego faktyczności. Dla żeglującego po akwenach wyobraźni pisarza historycznego oznacza to korzyść nie do przecenienia w postaci stopy wody pod kilem.

* * *

Owszem, prawda, fakty są faktami, lecz co to w gruncie rzeczy znaczy? Ilekroć chcesz jakiś fakt lub dowolnie rozległą sekwencję faktów opisać i przedstawić, dajesz temu mniej lub bardziej siebie. Przeszłość nieustannie domaga się pamięci i osobistego przepracowania od tych, co ją odziedziczyli. To zadanie indywidualne i praca zespołowa, która nie może zostać wykonana bez osobistego udziału człowieka.

Jaką drogą owo coś, które nazywamy umownie „faktem”, przenika z przeszłości do historii? W jaki tajemniczy sposób się nią staje?

Otóż jest tylko jedna droga, jeden pas transmisji, który do niej wiedzie: przejście i transfer poprzez opowieść. Ktoś musi to coś opowiedzieć: ocalić od zapomnienia, komuś przekazać, zaświadczyć, że tak istotnie było, zapisać, zanotować z myślą o żyjących i potomnych, przedstawić, co się wtedy wydarzyło, czyli zrelacjonować.

Samo się nie opowie. Do tego niezbędny jest pośrednik, czyli medium. I tak relacja zostaje osadzona i zakotwiczona w określonym nośniku tekstowym, mającym swój początek, środek i koniec. Nośnikiem tym bywa każdorazowo narracja. Aby móc zaistnieć w przestrzeni rozpostartej między nadawcą i adresatem, historia musi zostać zakomunikowana za pośrednictwem narracji.

* * *

Historia, podobnie jak fikcja, nabiera własnego życia. Żyjąc zaś na swój sposób, staje się faktem opisanym, w taki a nie inny sposób przedstawionym, który zaprezentowany w czyjejs relacji przesłania sam siebie. *Nolens volens*, przyjmujemy rzecz jako wiarygodną i uznajemy ją za prawdę. I już nie wiemy, czy fakt ów faktycznie się zdarzył. Zapewne tak, lub tylko być może tak, lecz czy na pewno?

Czy rzeczywiście przywołany i opisany przez kogoś i dzięki temu znany nam fakt miał niegdyś miejsce? Nie panujemy nad tym. To on, *omnino vere*³, czy jakaś jego wersja – legenda, mit, wykład akademicki, szkolna lekcja w podręczniku, kursujący powszechnie opis, by na nich tylko poprzestać – wrasta w nas, budując obraz przeszłości epoki: dzieje prasłowiańskich plemion,

³ *Omnino vere* – łac. całkiem prawdziwie.

pierwszych Piastów, złotego wieku potęgi Jagiellonów, czasów saskich, dramatu rozbiorów, najdłuższej wojny nowoczesnej Europy.

Narracje historyczne mają to do siebie, że wprowadzone w obieg społeczny ulegają z czasem procesowi krystalizacji. Jeśli nie towarzyszy im rewizja, utrwala się one, zastygają, bursztynięją, twardnieją i kamienieją w ludzkiej wierze jako jedyna prawda o przeszłości bez potrzeby odwołania się do faktów, uznana za swoją i wyznawana przez daną jednostkę bądź zbiorowość.

* * *

Co łączy opowieść historyczną z rzeczywistością? Wszystko i nic. Fikcja nie jest stuprocentowym zmyśleniem, czystą iluzją, czczą ulotną fantazją, obłocznym omamem bez właściwości. Wpisana w mapę podróży niezbędną w poruszaniu się po odwiecznych drogach ludzkiej wyobraźni, było nie było, staje się obiektem mającym kształt terytorialny: z własnymi wymiarami, rzeźbą terenu i charakterystyką. Jakkolwiek jawiłaby się ona ułudna, oderwana od świata i fantastyczna, istnieje zawsze na styk, tuż tuż, niedaleko: na peryferiach tego, co realne, stając się swego rodzaju widmem przeszłości, jej drugim życiem, alternatywną formą bytu.

Od zawsze pisanie powieści pozostaje zajęciem czasochłonnym i żmudnym. Pisarz trzodzi się i trzodzi, wiecznie poszukując i błędząc, niepewny rezultatu, który na początku swej pracy zamierzył. Powieść, jak zresztą wszelkie inne próby stworzenia czegoś, jest więzieniem dla twórcy: desperacko usiłującego pokonać własne ograniczenia, rozsadzić przeżywaną dniem i nocą niewolę, by wydostać się na wolność, która czeka na śmiałka zdolnego dopłynąć w końcu do wyznaczonego celu i portu.

Kto tego uczucia jeszcze nie zaznał, osobiście go nie doświadczył, nie wie, jak bardzo przenika ono serce i umysł tych, którzy usiłują coś stworzyć na kanwie przeszłości. Każde nasze dzieło powstaje i oscyluje między uwięzieniem a wyzwoleniem, by wreszcie wyjść na światło dzienne i odnaleźć własną drogę do samodzielnego istnienia bez kłopotliwej i raczej zbędnej obecności autora, który sprawił, że ono powstało.

Czy pisarz historyczny jest w swym pisaniu sam? Niezupełnie, choć z pozoru mogłoby się tak wydawać. Pisze przecież własnoręcznie, trzymając pióro czy uderzając palcami w klawiaturę; nikt mu ręki nie prowadzi ani nie kontroluje, stojąc za jego plecami.

W istocie jednak przez cały czas sekunduje mu pewien stale obecny, choć niewidzialny, pobudzający do działania czynnik. Są nim oczekiwania czytelników, których istnienie i obecność bierze pod uwagę, nawet gdy je odrzuca. To oni – tak czy inaczej – okazują się lustrem, w którym *nolens volens* odbijają się i przeglądają autorskie intencje.

* * *

Powieść o minionych dziejach opowiadająca po swojemu wiąże i spleta w jedno *Dichtung* i *Wahrheit*, niczym wytrawny przemytnik w tę i z powrotem krążąc nieustannie i przerzucając kon-

trabandę między jednym a drugim przez zieloną granicę pisarstwa. Każda powieść historyczna nieustannie oscyluje między tym, co prawdopodobne, a tym, co nieprawdopodobne. Jest więc z natury swej tworem operującym w strefie przygranicznej. Porusza, dopełnia i wspomaga fakty składające się na minioną rzeczywistość. Dopóki zachowuje prawdopodobieństwo, jest powieścią historyczną. To jej mus, warunek *sine qua non* i kredyt z notarialnym poręczeniem, jaki zaciągnął autor w banku przeszłości.

Pisarstwo historyczne w rozmaitych swych odmianach powinno możliwie sugestywnie odsłaniać i pomagać zrozumieć przeszłość. Można to uznać za jego właściwe przeznaczenie. A niewłaściwe? Wiadomo. Nigdy nie powinno jej zastępować. Nie ma takich plenipotencji. Choć skądinąd wiemy, że potrafi się ludziom narzucać i na różne perfidne sposoby mamicić ich, urzezać i zwodzić, jeśli jego zwodniczej mocy ulegną.

* * *

Dobra powieść historyczna żyje konfabulacją. To jej naturalny żywioł oraz podstawowa racja bytu. Nie może jednak przenigdy rościć sobie prawa do zastępowania tego, co w przeszłości realne. Pozbawiona stosownych umocowań, uzurpacja zmyślenia zawsze źle się kończy dla urzeczonych i omamionych nią adresatów. Naiwni konsumenci wszelkiej fikcji bez trudu są w stanie trwale uwierzyć w coś, co realnie nie istnieje. Zdarzało się nieraz, że za tę naiwną wiarę w nieistniejące płacili niezmiernie słone rachunki.

Rzecz w tym, że organizm społeczny jako całość – mowa tu o jego delikatnej i podatnej na infekcje sferze zwanej świadomością zbiorową – nie jest zbyt odporny na zakażenie historyczną nieprawdą. Jego odpowiedź immunologiczna bywa często zbyt słaba. Wówczas dochodzi do zainfekowania, pół biedy jeśli tylko miejscowego. Nawet ono jednak, choć występuje jedynie lokalnie, oddziałując w ograniczonym umiejscowieniu, może się okazać niszczące i zgubne w skutkach, gdy zaatakowanemu organizmowi zacznie zagrażać szybko postępująca gangrena pseudohistorycznego fałszu.

Początkowo wypiera się fakty. Zwłaszcza te bolesne, trudne, nieakceptowalne i niezaprzeczone. Nie da się ich całkiem pominąć, usunąć w niebyt, zaprzeczyć ich niewygodnemu istnieniu. Im mniej są przepracowane przez zbiorową świadomość, tym bardziej okazują się realne: jak kolec, który nieznośnie utkwiał wędrowcowi w zranionej stopie, nie pozwalając mu dalej swobodnie kroczyć i iść przed siebie.

Nasza pamięć działa wybiórczo. Wspomnienia o tym, co się zdarzyło, powracają w serii przybliżeń: raz bliskich i donośnych, kiedy indziej odległych, dochodzących z oddali przeszłości. Każde z nich przynosi kolejną, niekoniecznie tylko korzystną, korektę pamięci.

* * *

Czy warto pamiętać to, co było? Dziś wiem, że ze wszech miar warto. Dawniej, za młodu istniała dla mnie tylko terażniejszość. Liczyło się jedynie nowe dzisiaj i ono pochłaniało mnie

bez reszty. Przeszłość traktowałem z lekceważeniem jako nieważne, nieistotne to już było, odeszło, minęło. Przyszłość zaś jako iluzoryczne jutro, czyli dalszy – oczywisty w swych przewidywalnych następstwach – ciąg czasu bieżącego.

Dzisiaj czuję i postrzegam to całkiem inaczej. Nie należy zestawiać z sobą na równi przeszłości, terażniejszości i przyszłości. To wielki błąd. Wystarczy pomyśleć, jak migotliwa i momentalnie przemijająca jest terażniejszość, w której pędzącym w nieznaną strumieniu jesteśmy zanurzeni. Jak znikoma się jawi – na otchłannym tle tego wszystkiego, co było, co się na świecie złego i dobrego przed nami wydarzyło. I jak hermetycznie jest domknięta wraz z nami w ciasnej kapsule tu i teraz – na tle bezmiaru zdarzeń niewiadomej przyszłości: możliwych i niemożliwych, hipotetycznych i tych, co być może kiedyś się ziszcą, ukrytych za wrotami nieznanego mnie i tobie jutra.

* * *

Po jednej stronie historycy, po drugiej autorzy powieści historycznych. Jedni i drudzy należą do rzędu dziejopisów. Czy tylko oni? Czy to, co ich łączy i dzieli, wyczerpuje dawną i współczesną aktywność kultury dziejopisarstwa? Oczywiście nie. Oprócz nich jest jeszcze ktoś, o którym nie wolno nam ani na chwilę zapominać. Ktoś, kto zajmuje się przeszłością, kto posiada o niej własną wiedzę i chce się nią podzielić, przekazując ją innym z myślą o jej zachowaniu.

Ani naukowa historiografia, ani powieściopisarstwo historyczne, przy całym szacunku dla wysiłków tych, którzy je uprawiają i tworzą, nie mają bynajmniej monopolu na historię. Zgódźmy się co do tego, iż stanowią one jedynie wyemancypowaną częśćkę, *pars pro toto* jej codziennego i odwiecznego funkcjonowania.

Zasłużona skądinąd nobilitacja naukowych traktatów o historii oraz nobilitacja powieści historycznych nie byłaby możliwa bez prymarnego układu odniesienia, z którego obie biorą swój początek. Nie wolno o nim zapominać, ani też go lekceważyć.

Układ, o którym tu mowa, stanowi rezerwuuar niewyczerpanego mnóstwa najrozmaitszych zwykłych, to znaczy będących w powszechnym użyciu, komunikatów na temat przeszłości: zarówno mówionych, jak i pisanych. Należą do nich między innymi: opowieści, legendy, klechdy, pieśni, podania gminne, notatki, listy, raporty, korespondencje, przekazy rodzinne, środowiskowe, podręcznikowe, diariusze, kalendarze, glossy i zapiski, pamiętniki, kroniki, historie prywatne (mikrohistorie), osobiste wspomnienia, dzienniki, reportaże z wypraw i podróży, memuary, oficjalne i nieoficjalne życiorysy, relacje z minionych wydarzeń, zeznania, biografie i autobiografie, ustne wspominki, anegdoty, komentarze na temat bieżących wydarzeń i minionych dziejów, memy etc.

Choć wydają się one, i *de facto* są, bardzo różne, tworzą pewien zbiór komunikatów oparty na wspólnym paradygmacie ich funkcjonowania. Łączy je wszystkie rodzaj użytego dyskursu uchwytny poprzez język, w którym zostały sporządzone. Opisany wyżej dyskurs nazwiemy umownie potocznym, dodając, że – choć pierwszorzędnie ważny i powszechnie występujący – nie jest on jedynym.

* * *

W przestrzeni społecznego wytwarzania przekazów historycznych istnieją zasadniczo trzy takie różniące się między sobą dyskursy:

- potoczny,
- artystyczny,
- naukowy.

Jak mają się one do siebie i po czym je poznać? Klucz do dzielącej je różnicy stanowi poetyka każdego z nich. To ona wyznacza swoisty paradygmat każdego z tych dyskursów i moment konkurencji między nimi. Zarówno w odmiennych zasobach językowych, jak i w repertuarze stosowanych przez nią chwytów daje o sobie każdorazowo znać to, co powtarzalne: obiegowe matryce, sposoby wyrażania, przywoływane słowa, figury retoryczne, konwencjonalne chwytły służące przywoływaniu zdarzeń przeszłości i przekształcaniu ich w historię.

Oprócz historyka i autora powieści historycznej istnieje jeszcze ktoś trzeci: zwykły podmiot relacjonujący komuś to, co sam przeżył lub przeżyli inni – słowem szeregowy, anonimowy bądź znany z imienia i nazwiska sprawca mikrohistorii. Prezentacja przeszłości inaczej wypadnie w traktacie naukowym, inaczej w powieści historycznej, a jeszcze inaczej w przekazach rodzinnych, rozmaitych gawędach i wspominkach o dawnych czasach.

Kładę tu szczególny nacisk na istnienie dyskursu potocznego ze względu na znamionującą go powszechność. Nie sposób go pominąć, ani zlekceważyć. Dopiero na tle potoczności dyskursu codziennego widać bowiem w sposób należycie ostry i wyraźny swoistość dyskursywnych zabiegów historyka oraz pisarza historycznego.

Wszyscy jesteśmy po trosze historykami tudzież samozwańcami, okazjonalnymi autorami powieści historycznych, uczestnicząc w owym prymarnym dyskursie. Emancypacja naukowego traktatu historycznego i nobilitacja powieści historycznej oraz nobilitacja obu tych rodzajów dzieł i odmian dyskursów nie byłaby możliwa bez społecznego funkcjonowania potocznego dyskursu historycznego. Stanowi on dla nich obu, choć dla każdego w różny sposób, prymarny układ odniesienia.

Jakkolwiek zaskakująco to zabrzmia, oba – naukowy i artystyczny – mają mu wiele do zawdzięczenia, ponieważ z niego właśnie tamte dwa dyskursy nie tylko wzięły niegdyś swój starożytny początek, lecz – co jeszcze ważniejsze – nadal z niego wynikają i są na nim ufundowane. On wyznacza ich konieczną podstawę, tak jak podstawą języka poetyckiego, literackiego i naukowego jest system i żywioł języka potocznego.

Wszelka zakomunikowana historia opiera się na czyimś podmiotowym przeżyciu tego, co minione. Niektórzy nazywają to empatią, ja – czytaniem przeszłości ze zrozumieniem. To w tych trzech rodzajach dyskursu wyraża się nie od dzisiaj, lecz z dawien dawna, krążące w różniących się od siebie obiegach komunikacyjnych ludzkie zainteresowanie tym, co było.

* * *

Po co człowiekowi przeszłość? Do czego mu ona potrzebna? A po co wędrowcowi droga, którą już pokonał, którą teraz właśnie podąża i którą ma przed sobą? Po co drzewu korzenie, z których ono wyrasta i dzięki którym żyjąc, się odradza?

Wskazywałem wcześniej na istnienie różnych, zatruwających jednostkowe i zbiorowe wyobrażenia przeszłości, utylitarnych praktyk falsyfikującego postępowania z historią. Czyniłem tak bynajmniej nie dlatego, by uznać, iż są nieuniknione. Wprost przeciwnie, opisałem je po to, by teraz móc wskazać na jej biegunowe przeciwieństwo. Jest nim bezinteresowna, by tak rzec, relacja z przeszłością, w której życie dzisiejsze odczuwa potrzebę sięgania do tego, co minione.

Dzieło naukowe i dzieło artystyczne, ale także opieka nad grobami, album z rodzinnymi fotografiami, sporządzanie drzewa genealogicznego czy opowieść snuta przez starszych z myślą o przekazaniu pamięci i swego doświadczenia młodszemu, jak również wiele innych postaci kontaktu nawiązywanego przez człowieka z przeszłością – widziane w tym świetle stanowią *acte gratuit*, przejaw szlachetnego w swym aspekcie symbolicznym zachowywania przeszłości i kontaktu z nią.

* * *

Przyjmuje się za oczywiste, że to, co było, zostało bezpowrotnie utracone. Czy naprawdę? Owszem przeminęło, zapadło się w studzienną otchłań czasu przeszłego. Ale nie całkiem. Nadal w nas istnieje, tyle że inaczej niż wtedy, gdy tętniło życiem i ówczesnymi sprawami tego – poprawmy się zaraz, już nie tego, lecz tamtego – minionego świata i codzienną krzątaniną zabiegów ludzi, którzy odeszli.

Historia jako cała prawda? Terefere... Zwodniczy absolut od wieków wyznawany przez rzeszę dziejopisów. Bożek niedostępnej śmiertelnym absolutnej prawdomówności. Nie należy go jednak zrzucić z piedestału, strącać z ołtarzy, potępiać ani wyśmiewać. Dążenie badacza do osiągnięcia w studiach nad przeszłością możliwie pełnego obiektywizmu ma bowiem swoją wartość.

To, że nigdy nie poznamy całej prawdy o przeszłości, nie znaczy *primo*, że nie mamy o to zabiegać, *secundo*, że prawda o tym, co było i faktycznie się niegdyś wydarzyło, nie istnieje i – po prostu uznana przez współczesnych za niepoznawalną – nigdy nie wyjdzie na jaw. Owszem, istniała, istnieje i dalej będzie istnieć, dlatego warto ją poznać.

Jest taki przewrotny antyczny paradoks. Z jego nieodpartej na pozór logiki zdaje się kategorycznie nasuwać wniosek, że nie ma ani przeszłości, bo przeminęła, ani terażniejszości, bo tyle co – chwilę wcześniej – przeszła w stan minionego, *ergo* wychodzi na to, że także jej nie ma. A już na pewno nie ma przyszłości, bo ta dopiero nastąpi i moment później też podzieli los obu pozostałych.

Cóż nam wobec tego zostaje? Porzucić zwodnicze nauki sofistów i kierować się własną logiką, opierając naszą wiedzę o świecie minionym i o nas samych na sprawdzonym osobistym doświadczeniu. Przeszłe wielorako istnieje w terażniejszym. Zanurzeni w strumieniu terażniejszości nie musimy i na dobrą sprawę nie potrafilibyśmy całkowicie zerwać kontaktu z tym, co

było. Kwestia tylko, co z tym fantem począć? Może z niemałym pożytkiem dla siebie warto własny kontakt z minionym odnowić? A zatem przejdźmy do rzeczy...

Z przeszłością, bo ona nas tutaj interesuje, jest generalnie tak, że nieporównanie więcej o niej nie wiemy, niż wiemy. Dlatego bywa dla wielu tak atrakcyjna, tajemnicza i pociągająca. To kraina faktów i domysłów. Ktokolwiek wciągnie się w jej poznawanie, szuka dla siebie koniecznego oparcia w faktach. Jeśli ich brakuje, pozostaje nam potęga wyobraźni. Żadna rekonstrukcja przeszłości, a tym przecież jest historia, nie może się obyć bez aktu i pracy naszej wyobraźni.

Każdy, kto się zajmuje przeszłością i sięga do jej pokładów – przepuszcza ją przez siebie. Czyni to, *nolens volens*, przez własną dociekliwość, spostrzegawczość, ciekawość, rozmaite wątpliwości i wahania, wiedzę i niewiedzę, stawiane znaki zapytania, usilne docieranie i ciągłe poszerzanie widnokągu, empatię, detektywistyczną zdolność kojarzenia i wyciągania logicznych hipotez i wniosków. A także, *last but not least*, jednostkową tudzież zbiorową potrzebę, umiejętność oraz odwagę dokonywania z nią rozliczeń.

* * *

Po co komu fikcja? Nie lepiej pisać wyłącznie o prawdziwych zdarzeniach i ludziach? Po pierwsze, kto powiedział, że fikcja musi być nieprawdziwa? Z góry skazana na nieprawdę, bo jest fikcją? Nonsens. Po drugie, czy materia właściwa fikcji wyklucza ze swego składu jakąkolwiek obecność i udział w niej faktów? A niby dlaczego? Po trzecie, kto zaręczy, że to, co bywa nazywane prawdziwą historią, istotnie składa się z prawdy i tylko prawdy? A może owa uznana za całkowicie prawdziwą opowieść też jest tylko konfabulacją: co gorsza, odzianą w dostojne szaty prawdziwości?

Fikcja nie musi kłamać. Mit podobnie jak powieść krąży pomiędzy prawdą, u której źródeł dają o sobie znać niedocieczone, zapoznane fakty, a zmyśleniem, które wzięło z nich początek, nieustannie kojarząc w sobie rzeczywiste z nierzeczywistym. Powstanie mitu i napisanie powieści nie dokonuje się ot tak, w mgnieniu oka. Formy tego rodzaju potrzebują dla siebie długiego trwania. Poprzedza je złożony proces krystalizacji i nadawania kształtu.

Opowiadając o przeszłości, jedno i drugie, aby mogło zaistnieć, wymaga sprawczego udziału ludzkiej wyobraźni. Powieść historyczna, bo ona nas tutaj szczególnie interesuje, stanowi rezultat niestrudzonej wytrwałej gry. Gry oddaleń i przybliżeń toczonyj przez jej autora, rozgrywki polegającej na kursowaniu i ciągłej oscylacji między znanym a nieznanym.

* * *

Twory fikcjonalne niosą z sobą niejedną niespodziankę i bywają czasami doprawdy zaskakujące. Przypuśćmy, że na potrzeby naszej powieści stworzymy na własny użytek wziętą z głowy fikcyjną nazwę miejscowości. Dajmy na to, że będzie nią Wymyślin. Wymyślona *ad hoc* nazwa miejscowości Wymyślin pozostaje naszym wymysłem tak długo, jak długo zaskoczeni nie odkryjemy i nie zdamy sobie sprawy, że miejscowość o tej nazwie całkiem realnie w Polsce istnieje.

Ot, niespodzianka! Rzeczony Wymyślin okazuje się nie tak bardzo wymyślny i wymyślony, jak mogłoby się komuś zdawać. To wieś opodal Lipna położona w województwie kujawsko-pomorskim. Była sobie i jest. Całkiem prawdziwa i niewymyślna. Cóż, rzeczywistość bywa nieoczekiwanie szczodra, a urzędowe spisy pojemne. Oprócz wspomnianego Wymyślina figurują bowiem jeszcze w ewidencji Wymysłowo i Wymysłów. Mamy też Wymysł i Wymysły, nie zapominając o Wymysłowicach (niedaleko Strzelna), Wymysłach, Wymysłówce i Wymysłance. Naprawdę. Wygląda na to, że inni, co niegdyś tu byli, dokonali już czegoś przed nami.

Basta! Stanowczo dość tego wymyślania. Jak dawniej, tak i dzisiaj rodzi się i istnieje po swojemu, rządząc się własnymi prawami. Niepodobna go całkiem wydestylować, odsączyć, oczyścić z fuzli realności. Nawet rzeczy najbardziej niedorzeczne i wymyślne koniec końców czerpią soki z życia. Mają własny adres.

* * *

Nad wyraz zajmująco robi się wtedy, gdy życie przemienia się w opowieść. Gdy przepadła na zawsze zamknięta na wieki w mrocznym labiryncie przeszłości Ariadna, nagle zaczyna wołać o ocalenie z otchłani, przywodzi i prowadzi ku sobie Tezeusza, pragnącego uratować ukochaną.

Tezeusz, opowiadam tutaj swoją wersję mitycznych wydarzeń, nie wiedział, jakie ryzyko na tej wyprawie go czeka. Ze wszystkich sił pragnął tylko jednego: wyrwać Ariadnę z labiryntu i ponownie przywrócić ją do życia. Jeśli autor historii, pospołu naukowiec czy pisarz, zadowolimy się z braku innego określenia dziejopis, ma być przyrównany do mitycznego Tezeusza, ilekroć wyrusza w swą drogę, staje się kimś, kto pragnąc zaprzeczyć śmierci tego, co niegdyś żyło pełnią swego życia, i odwrócić nieodwracalne, podejmuje się niebezpiecznego zadania.

Nie liczy się dlań nic innego. Jedyńm jego pragnieniem i celem jest ocalenie ludzkiego istnienia: wyprowadzenie go meandrycznie biegnącym korytarzem nadziei po nitce faktów: uratowanie tego, co minione od całkowitego przypadku w mrokach wiecznego niebytu.

* * *

Kiedy człowiek przestaje istnieć? Kiedy znika na zawsze ślad po nim? Cóż, istnieje się dla innych: żyje w nich, poprzez nich i dzięki nim. Tak. Każdy z nas – jak powracający z wojny doktor Peiser dla swej ukochanej córeczki Lili – może przestać istnieć już za własnego żywota. Kochający ją bezgranicznie, tęskniący za nią przez wszystkie lata wojennej rozłąki i całkiem dla niej obcy, krążący po rodzinnym domu niczym widmo samego siebie sprzed zaledwie paru lat.

Gdy zabraknie powieści, postać wypada poza jej wyobrażalne, wykreślone trajektorię słowa granice – przenosi się za widnokrąg rzeczywistości: na odległy margines niebytu. Czy jednak ci, którzy żyli przed nami, nasi wstępni, niegdyś tu obecni, z chwilą swego odejścia całkiem się w tej martwej nicości pograżają? Upominając się o nich, walczymy o pamięć po nas. *Non omnis morietur*. Znikając za horyzontem istnienia, śmiertelni nadal żyją: jedni dłużej, drudzy krócej.

Wszystkich łączy jedno: że pewnego dnia lub nocy nagle w jednej chwili odchodzą na zawsze. Pomimo to jednak nie całkiem przeminęli. Ich reinkarnację umożliwia pamięć. To dzięki niej, na przekór nicości trwają nadal po swojemu dla potomnych. Są, bo niegdyś żyli i byli. Był sobie Diabeł z Wenecji. Naprawdę żył przed wiekami w Wielkopolsce ktoś taki. I nie tylko on jeden.

Byli sobie: Emilia Szczaniecka, Filipina Kottek, generał Chłapowski z Turwi, bracia Hersowie i ich przyjaciel Władysław Jerzykiewicz. Byli też: hrabia Władysław Zamoyski, pianista Paderewski, brygadier Piłsudski i życzliwy Polakom niemiecki dyplomata, hrabia Harry Kessler. A oprócz nich: doktor Karol Marcinkowski, doktor Heliodor Świącicki, księgarz Jan Konstanty Żupański, siostry Zofia i Anieli Tułodzieckie, Michał Drzymała, Bogusław Łubieński, major Andrzej Kopa, lotnik z Ławicy Wiktor Pniewski oraz niezapomniana wielkopolska kuchmistrzyni Maria Ślezańska.

Czy wszyscy ci ludzie przepadli na zawsze i absolutnie zniknęli? Skądże znowu. Nieprawda. Są z nami tak długo, jak długo o nich pamiętamy. Żyją i nadal są z nami, tyle że inaczej niż dotąd: dzięki ludzkiej pamięci, przemienieni w opowieść. Istnieją w niej całkiem realnie, kto wie, czy nie pełniej nawet niż w doczesnych ramach, choć na swój sposób. A wtedy, mocą jej czarodziejskiego działania, mogą się stać, kim tylko im się żywnie podoba. Nadradcą Wolfgangiem Otto Wagnerem i jego służącą Steffi, potomkiem Bambrów poznańskich Maksymem Handschuhem, dziadkiem Zygmunta Baumana mądrym buchalterem Cohenem, sławnym noblistą doktorem Kochem, Michałem Drzymałą czy przyszlą gwiazdą filmową małą Lili Palmer (*de domo Peiser*), która nie poznaje swego ojca po powrocie z wojny.

* * *

Dawno, dawno temu, była sobie... Magiczna kraina opowieści. Ilekroć wędrujesz po jej terytoriach i przebywasz w nieuchwytnych, zwodniczych granicach, sam nie wiesz: bajda, klechda, baśń, podanie, legenda, mit? Ile razy słyszeliśmy to stanowcze zaprzeczenie: wierutna bzdura, bujda, nieprawda, zmyślenie, legenda, mit! Jednak mit – mit kogoś bądź czegoś dotyczący – wcale nie musi falsyfikować tego, co realne, i nie jest bynajmniej synonimem blagi i kłamstwa.

Co dla nas ważne, nie każda opowieść o tym, co było i co się niegdyś wydarzyło, zmierza do tego, by idealizować rzeczywistość. *A contrario*, zdarza się wielokrotnie, że odziera istniejące jej wyobrażenie z zawartych w nim iluzji, przeinaczeń i uproszczeń, ukazując wyraziście rzeczywisty (wypada zauważyć pobrzmiewający w tym słowie niezamierzony paradoks, bo przecież mowa, było nie było, o fikcji) obraz zaistniałych zdarzeń i uczestniczących w nich postaci.

W dowolnej powieści historycznej, cokolwiek by ona relacjonowała, daje o sobie znać konflikt dwóch dążeń poznania. W świetle jednego z nich rzeczy przybierają uproszczoną i jednoznaczną „komiksową” postać. W świetle drugiego, całkiem przeciwnie, wspólnie z autorem próbujemy prześledzić meandry minionych wydarzeń: odkrywamy sprzeczności, komplikacje i zaskakującą wieloznaczność tego wszystkiego, co stanowi przedmiot czyjegoś przedstawienia.

W efekcie drugiego z tych dążeń, pozytywni bohaterowie historii nie są już tylko uosobieniem czystego wyidealizowanego heroizmu, a ich groźni antagoniści w roli czarnych charakterów nie jawią się jedynie jako wydestylowana kwintesencja zła. Ani to żaden ekranowy western,

ani powieść Karola Maya. Sięgając w przeszłość, usiłując ją odsłonić i ocalić przed zapomnieniem, krok po kroku odkrywamy, że życie Wielkopolan będących naszymi antenatami okazuje się o wiele bardziej złożone i niejednoznaczne niż wyobrażenia kursujące w pamięci ogółu.

* * *

Powieściowa gra oferuje wówczas dialog stanowisk i zmaganie się racji ścierających się dążeń i stron. Historia Drzymały, dzieci wrzesińskich, powstania wielkopolskiego, wojny z bolszewikami. Powróćmy raz jeszcze do kwestii mitu i złożonych relacji, jakie łączy go z minioną rzeczywistością. Łączą, a może całkiem przeciwnie dzieli? Mit – niezależnie od tego, o czym opowiada i co przedstawia – odrealnia rzeczywistość i przenosi ją w inny wymiar. Jaki? Uogólniony, odcedzony z komplikacji, paraboliczny, rozpięty między tym, co realne, a nierealnym. Na własny użytek nazwijmy go roboczo wymiarem metafizycznym.

Sądzi się, że mit wyklucza się z opisem poprzestającym na zrelacjonowaniu zaistniałych faktów. Innymi słowy, z historią, jaką radzi by ją widzieć i chcą w naukowy sposób uprawiać obiektywistycznie zorientowani historycy. Stąd dość szeroko rozpowszechniony pogląd, iż mit opowiadający swoją własną wersję dziejowych wydarzeń istnieje najzupełniej samoistnie: rozpostarty na własnej kanwie i uwolniony od presji konkretności.

Tymczasem z mitem rzecz przedstawia się całkiem inaczej. Podobnie jak legenda, baśń czy podanie – wyrasta on i czerpie z tego, co realne. Na pozór niezależna, to znaczy uwolniona od przymieszki realności, uniwersalna natura mitu nie odrywa się całkowicie od rzeczywistości, a tylko wznosi się ponad nią. Transponuje historię i opowiada ją po swojemu, nie dając się do niej sprowadzić, a przeciwnie – oddalając się i uwalniając od tego, co ulotne i przemijające.

Jak to możliwe? Otóż fenomen każdego bez wyjątku mitu, zapisany w nim genom jego istnienia, ma to do siebie, iż wytwarza on i ustanawia na swe własne potrzeby autonomiczną czasoprzestrzeń, dzięki czemu jako swoiście wyposażony i obramiony rodzaj przekazu okazuje się prehistoryczny i ponadczasowy zarazem. Dzięki temu właśnie może się ciągle odradzać, a jego istnienie społeczne zostaje zwielokrotnione i pomnożone w zbiorowej wyobraźni. Materia dziejowa rzeczywistości, z której wziął początek, rozpada się, przemija i znika, mit trwa.

Trwanie mitu jednak, choć pierwszorzędnie ważne, nie wyczerpuje charakterystyki fenomenu, jaki stanowi.

Struktura mitu – będąca niczym innym jak wiązką jego funkcji – ma to do siebie, że zapełnia pospólną przestrzeń nośnym wyobrażeniem bądź zbiorem wyobrażeń, które dana zbiorowość skłonna jest przyjąć i uznać za własne. Ilekroć w życiu społecznym zdarza się, że mit zamienia się miejscami z rzeczywistością, sam uchodząc w takich przypadkach za rzeczywistość, *tout court* zastępuje ją i przesłania, stając się od niej bez porównania ważniejszy i wypierając ją z pola widzenia.

Zbiorowa pamięć przeszłości traci wówczas realne kontury. Dostarcza ona uludnego wrażenia oczywistej pewności i wiedzy wyznawców, że tak było naprawdę. Podatnych na tę pokusę zarówno mito-

twórców, jak i rzeszę mitofilów, która jej ulega, zwodzi w takich przypadkach niby prosta, a w gruncie rzeczy zdradliwa i w końcu zgubna droga prowadząca prosto już nie do idealizacji, lecz do totalnego zafałszowania i nad wyraz groźnego w skutkach zakłamania tego, co niegdyś miało miejsce bądź nie.

* * *

Faraonowie egipscy wiedzieli, jak szybko przemija życie człowieka, ale też jak odporna na działanie czasu pozostaje monumentalna budowla wzniesiona z potężnych bloków z kamienia zdolnych mu się trwale przeciwstawić. „Żołnierze! Czterdzieści wieków patrzy na was”. Oto doskonały skrót wyrażony przez człowieka, który stanął przed przeszłością, angażując kamienny fakt jej istnienia do wykreowania własnej historii.

Przeszłość i historia. Ta para pojęć bywa z sobą częstokroć mylona i utożsamiana. Wiedząc o tym semantycznym zamieszaniu i zdając sobie sprawę z jego niebłahych konsekwencji, spróbujmy mu zapobiec na drodze redefinicji. Przeszłość, jak ją tutaj rozumiemy, stanowi byt prymarny: przyczynę i przyczynę istnienia, nie tylko ludzkiego. Historia natomiast – w jej rozmaitych odmianach, postaciach i odniesieniach do tego, co minione – jest systemem wtórnie modelującym.

Mówiąc „przeszłość”, mamy każdorazowo na myśli spadkodawczynię. Mówiąc „historia”, rozumiemy przez nią spadkobierczynię. Nasz udział i uczestnictwo w przeszłości, z której wszyscy się wywodzimy, w żadnym razie nie upoważnia nas, by uważać się za jej twórców. Co innego z historią. Tę jednostka i zbiorowość nieustannie tworzą i ustanawiają wciąż na nowo. Nie da się ustanowić przeszłości, po prostu ona już jest. W odróżnieniu od historii, gdyż istotą pełnionej przez nią funkcji jest właśnie ustanawianie.

Każdy dziedziczony spadek jak wiadomo zawiera w sobie aktywa i pasywa. Można spadku nie przyjąć, odrzucić go. Jeśli jednak został przyjęty, a niespecjalnie mamy w życiu inne wyjście, tak czy inaczej oznacza to przejęcie na naszą odpowiedzialność zarówno aktywów, z których będziemy coś tworzyć, jak i pasywów, rzeczy niechcianych choć przez nas odziedziczonych, których nie można się pozbyć, niczym niespłaconych długów spadkodawczyni. Tak właśnie daje o sobie znać historia pojmowana jako systemowe zagospodarowanie przeszłości.

* * *

W odróżnieniu od przeszłości (znaczy tego, co się niegdyś wydarzyło, faktycznie było, czyli – powtórzmy raz jeszcze – realnie zaistniało) każda historia, która jej dotyczy, ma charakter domniemany i hipotetyczny. Przed chwilą była mowa o tym, że twierdzenia i najróżniejsze sądy na temat przeszłości mogą być i bywają wypowiedane w dobrej bądź złej wierze.

O tym zaś, oprócz punktu widzenia autora, decyduje coś jeszcze, a mianowicie uprawiana na użytek wewnętrzny tudzież zewnętrzny polityka historyczna, motywowana albo dyktowana przez doraźne interesy władzy. Co się dzieje z historią i przeszłością, widać szczególnie wyraziście

w momentach przesilenia i dziejowego przełomu. Te nowe otwarcia, włącznie z udziałem mitu założycielskiego, wywierają przemożny wpływ na kształtowanie biegu terażniejszości.

Nas jednak interesuje nie polityka, lecz kwestia dochodzenia i dotarcia do prawdy o przeszłości. Z jakiego powodu? Dlaczego kwestia ta jest ważna w życiu zarówno jednostki, jak i zbiorowości? Otóż dlatego, że i jednostka, i zbiorowość czynią minione dzieje źródłem zasilenia poczucia tego, kim w życiu są i zamierzają być. Z tego właśnie względu, generacja po generacji, interes społeczny domaga się udziału w życiu publicznym ludzi wyposażonych w rozległą i rzetelną wiedzę o własnej i cudzej przeszłości. Znać ją i rozumieć, to nie tylko mieć trafne rozeznanie we własnym dzisiaj, lecz również umieć odnajdywać właściwe drogi jutra.

* * *

Nie każdy, kto dokonuje rewizji i weryfikacji przeszłości przemienionej przez innych w mit, jest zaraz skazanym na potępienie mitoburcą. Historia nie jest skamieliną. Tektonika zbiorowej pamięci znajduje się w ciągłym ruchu i przemianie. Statyce zastanych powszechnych wyobrażeń, kursujących w danym tu i teraz, przeciwstawia się dynamika nowych i *vice versa*.

Ów proces mitoburczej rewizji i wiwisekcji dokonywanej na złogach historycznej pamięci z reguły prowadzi do reakcji wzburzenia – bywa że potępienia – w imię obrony ustalonego (narzuconego? uświęconego?) stosunku do przeszłości. Należy wówczas uważnie wsłuchać się w argumenty stron uczestniczących w sporze. Mitoburstwo nie jest przejawem wandalizmu ani barbarzyńskim aktem niszczenia zbiorowej pamięci. Wprost przeciwnie, odgrywa ono często doniosłą rolę społeczną. Niesie bowiem z sobą ożywczy powiew zwątpienia, a wraz z nim nowe pytania stawiane przeszłości.

* * *

Pamiętacie tę słynną sentencję? *Historia magistra vitae est*⁴. Ileż razy słyszeliśmy o tym w murach szkolnych i w ławach akademickich. Wierzyć w to, czy wątpić? Stoję na stanowisku, że w rozważaniach nad trafnością owej starożytnej maksymy, należy zachować daleko posuniętą ostrożność i sceptycyzm. Nic na wiarę. Historia, pytanie jaka, jednych czegoś uczy, innych nie. Jeśli mija się z prawdą o przeszłości, potrafi wyrządzić w umysłach fatalne szkody i spustoszenia.

Nauczając historii, nie wolno mylić edukacji z indoktrynacją. Minione fakty (wydarzenia, postaci historyczne etc.) stają się nam bliskie poprzez ich zrozumienie. To proces poznawania i odkrywania przeszłości, a nie zbiór podręcznikowych prawd podawanych do wykucia i wierzenia. Otwarcie na to, co było przed nami – pod warunkiem, że przyświeca mu prawda – zasila i korzystnie wpływa na mikro- i makroprocesy rozwoju świadomości zbiorowej zachodzące w danym miejscu i czasie.

Z jednej strony czas terażniejszy, w jakim egzystują jednostka i społeczeństwo, po swojemu determinuje relacje łączące dzisiaj z przeszłością. Na tym jednak nie koniec. Działa tu bo-

⁴ *Historia magistra vitae est* – łac. historia jest nauczycielką życia.

wiem sprzężenie zwrotne. Z drugiej strony spojrzawszy, dzieje minione w przemożny sposób rzutują na życie teraźniejsze, jego bieżące sprawy i kierunek ewolucji. Kto nie jest tego świadom, łącno gotów uwierzyć, że to, co minione, definitywnie przepadło, a istnieje wyłącznie dzień dzisiejszy.

Piszę o tym wszystkim nie dla czczych sofizmatów i paradoksów logicznych, lecz by uzmysłwić doniosłe znaczenie relacji łączących zarówno jednostkę, jak i zbiorowość z przeszłością. W czasach umiarkowanie spokojnych jej istnienie nie odgrywa tak ważnej roli, jak wtedy, gdy nastaje czas dziejowej grozy. Jednostka i zbiorowość, które jej doświadczają, reagują na nią w rozmaity sposób. Jedną z takich szczególnie ciekawych ekstremalnych reakcji, o czym za moment, bywa uruchomienie głęboko ukrytych w psychice pokładów ironii poznawczej, u podstaw swoich nader często wyposażonej w aspekt historiozoficzny.

Zeitgeist, heglowski duch dziejów, nigdy nie znika i w każdej chwili domaga się dla siebie wyrazu od tych, którzy go doświadczają. Czarny humor okupacyjny, do którego chciałbym się tu odwołać, stanowi fenomen społeczno-kulturowy, będący w swych rozlicznych przejawach i formach jedną ze *spécialité nationale* Polaków. Znamionuje ją iście wisielcze poczucie humoru. Śpiewane na mieście kuplety warszawskie odzwierciedlały z myślą o dziś, o jutrze i w zestawieniu z tym wszystkim, co było, refleks niewyobrażalnie ciężkiego terroru, który nastał pod okupacją:

Siekiera, motyka, bimber, szklanka
W nocy nalot, w dzień łapanka.
Siekiera, motyka, gaz i prąd
Kiedy oni pójdą stąd?
Już nie mamy gdzie się skryć
Hyle nam nie dają żyć.
Po ulicach chodzą wciąż
Patrzą kogo jeszcze wziąć.
Ich kultura nie zabrania
Robić takie polowania.

Na długo przed wybuchem powstania warszawskiego Tadeusz Borowski opublikował w tomie *Gdziekolwiek ziemia* (1942) wiersz pod tytułem *Pieśń*. Rozpoczyna go strofa:

Nad nami – noc. W obliczu gwiazd
Ogłuchłych od bitewnych krzyków,
Jakiż zwycięzców przyszły czas
I nas odpomni – niewolników.

Zaś całość zamyka pamiętna zwrotka:

Nad nami – noc. Goreją gwiazdy,
Dławiący, trupi nieba fiolet.
Zostanie po nas złom żelazny
I głuchy, drwiący śmiech pokoleń.

Trudno w całej dwudziestowiecznej poezji polskiej wskazać inny wiersz, który w sposób głębszy i bardziej lapidarny, a przy tym z gorzką jak piołun ironią, wyraziłby pełniej naznaczoną dziejowym tragizmem historiozofię pokolenia Kolumbów, jednocząc w sobie jego własne wczoraj i dziś z cudzym, obojętnym jutrem.

* * *

Zmierzam do pewnej konkluzji, w myśl której czas przeszły, czas teraźniejszy i czas przyszły nie są trzema oddzielnymi bytami, lecz dostępnym każdemu, drożnym i sprawnie działającym na pożytek danej wspólnoty systemem naczyń połączonych.

Wzięliśmy się wszyscy z przeszłości. Wywodzimy się z niej, wyrastamy. To nasz matecznik i ojcowizna. Jesteśmy jej dalszym ciągiem, krzątając się i trudząc dzisiaj dla jutrzejszych teraźniejszości.

Teraźniejszość pracuje nie tylko dla przyszłości. Pracuje ona również dla przeszłości, którą nazajutrz się stanie i w którą się przemieni. Właśnie tego powinno w pierwszym rzędzie dotyczyć nauczanie historii.

Nabywanie dystansu wobec minionych wydarzeń, zyskiwanie pewnej odległości, jaka nas od nich coraz bardziej z czasem oddziela, nie dokonuje się momentalnie. Jest ono każdorazowo złożonym procesem, w którego docelowo przewidywanym rezultacie dochodzi/powinno dojść do osiągnięcia jednostkowej tudzież zbiorowej równowagi między sferą *ratio* i sferą *emotio*. Historia jest nie tylko opowieścią o tym, co było, ale również próbą uświadomienia, że stanowimy ciąg dalszy tego, co się niegdyś przed nami wydarzyło.

Powtarzam: w grę wchodzi złożony proces. Jego siłą sprawczą nie jest dokonujący się mechanicznie upływ czasu. Aby rozpoznanie owo i towarzyszące mu zasymilowanie minionego mogło się efektywnie dokonać, niezbędny jest czynny udział jednostki i zbiorowości. W odgrywającym dla funkcjonowania każdej zbiorowości doniosłą rolę psychospołeczną procesie rozumnego osvajania przeszłości kluczowe znaczenie przypada zatem wykształceniu podmiotowej relacji między życiem współczesnym a czasem minionym.

* * *

Historyk podobnie jak pisarz historyczny wybiera się w świat, który przeminął, na wyprawę, która ma go odkryć. Zanurza się w otchłań czasu przeszłego, poszukując śladów dawnej kultury i dowodów na istnienie zatopionej Atlantydy. Obaj podejmują swe zadanie z pełną świadomością ryzyka, jakie ponoszą. Co w tym istotne, nie tylko nie chcą tego ryzyka uniknąć, ono ich animuje i przyciąga. Karmicielką, w której pobliżu się znaleźli, jest nieskończenie cierpliwa wilczyca przeszłości. Zdani na jej pokarm, by przeżyć, są jak mleczni bracia, Romulus i Remus, napełnieni tą samą energią, ogarnięci wspólnym pragnieniem, krążący między pasją a prawdą.

Łączy ich i jednoczy to, iż obaj próbują odkryć prawdę na temat minionego. Historyk stara się zbudować swą opowieść z samych faktów. Interesują go fakty, wyłącznie fakty i tylko fakty. To jego pole uprawne i zawodowa powinność. Autor powieści historycznej nie stroni od faktów, ale oprócz nich, tym, co go osobiście pociąga, jest przestrzeń żeglugi wyobraźni otwierająca się między nimi.

Nawiguje więc pośród znanych i mniej znanych faktów, mając przed sobą mapę podrózną, na której je zaznaczono. Nie szuka dla siebie poczucia bezpieczeństwa. Szczególnie fascynują go nieodkryte ziemie i nieznanne lądy. Dąży ku nim i poszukuje na prawach apokryfisty, wiedząc, że starogrecki wyraz *ápókryphos* nie znaczy nieprawdziwy, lecz 'ukryty, tajemny'.

* * *

Nadarza się tu doskonała okazja do nowego spojrzenia na przeszłość jako krainę tajemniczą i nieznaną. Odkryć ją, rozpoznać i opisać nie jest łatwo. Wszelkie podejmowane próby dotarcia do niej, wniknięcia w nią i zaprezentowania, to jest sporządzenia opisu jej charakteru, pod pewnymi względami przywodzą na myśl sytuację, z jaką mamy do czynienia, ilekroć stykamy się z odmienną (celowo pominąłem w tym miejscu nasuwający się wysoce niefortunny wyraz 'obcą') kulturą, wyposażoną w mało czytelny dla nas, niejako zaszyfrowany, określony system wartości i powiązanych z nimi wyobrażeń.

Przeszłość istnieje bez nas. W tym sensie pozostaje ona bytem bezosobowym w odróżnieniu i w przeciwieństwie do historii, która – we wszelkich swoich postaciach i formach – stanowi tak czy inaczej twór podmiotowy. Kwestią kluczową jest tutaj charakter relacji nawiązywanej przez jednostkę i zbiorowość z przeszłością, ze szczególnym podkreśleniem jej aspektu wyobrażeniowo-emocjonalnego.

Ewokację przeszłości wywołanej poprzez medium historii się przeżywa. Relacja z nią może przybierać rozmaity charakter, urzeczywistniając się w bardzo różnych zależnościach i przebiegając w zmiennych nastawieniach. Waha się ona i oscyluje: pomiędzy biegunem całkowitego odcięcia podmiotu (obcość, wyparcie, nienawistne nastawienie wobec przeszłości), z jednej strony, a biegunem zupełnego zanurzenia w tym, co minione i choć minione – uznanym przez jednostkę bądź daną społeczność za absolutnie realne, ekscytujące, zmysłowo odczuwalne, nadal w ich teraźniejszym otoczeniu obecne (resp. bliskość, zbiorowa i indywidualna fascynacja, podziw tudzież autoidentyfikacja wraz z wyznawczym stosunkiem do niej), z drugiej.

Nawiązanie kontaktu z przeszłością, rozpatrywane w jego aspekcie antropokulturowym, każdorazowo zawiera w sobie akt tłumaczenia z kultury minionej, częstokroć od nas tak bardzo odległej, że wręcz egzotycznej, na kulturę współczesną. Tłumaczenie tłumaczeniu nierówne. Oprócz finezyjnych i wprost kongenialnych trafiają się całkowicie chybione i fatalne.

Pamiętając o istnieniu tej przepastnej różnicy, należy mieć na uwadze, że podmiotowy charakter dokonywanego tłumaczenia z jednej kultury na drugą pociąga za sobą niedającą się nijak

ominąć kwestię klasy dokonanej translacji, a wraz z nią czegoś, co można by nazwać sztuką czy też kunsztem przekładu. Zarówno historyk, jak i pisarz powinni być w tym mistrzami.

* * *

Nasuwa się tu pierwszorzędnie ważne pytanie o kwestię autorskiego szacunku dla historii. Czy szacunek ów ma polegać wyłącznie na podtrzymaniu obiegowych wyobrażeń przeszłości, czy przeciwnie, na dotarciu pisarza historycznego do realnych zdarzeń, które miały niegdyś miejsce (tak było!)? Słowem, na odważnym i bezkompromisowym odkrywaniu dziedzictwa przeszłości. W konsekwencji zaś – na odrzuceniu przez autora, ze względu na cudze przeinaczenie, jakie na swej drodze napotkał, zmytyzowanej ich wersji: w imię prawdy o ludziach, sprawach, czynach i czasach ukazywanych na kartach powieści.

To drugie, oprócz gruntownej wiedzy, wymaga osobistej odwagi. Przedstawić prawdę, wydobyc ją na jaw i ukazać w pełniejszym niż dotąd świetle nie jest rzeczą łatwą. Zwłaszcza wtedy, gdy z różnych powodów była ona dotychczas pomijana, przemilczana, ukrywana bądź zakłamywana.

Brutalność artystycznej demistyfikacji – z walnym udziałem fikcji ma się rozumieć – wyzwała rzeczywistość z niewoli pominięć, utartych stereotypów i wierutnych kłamstw. Uwalnia ją od zafałszowań, półprawd i pozorów, w których sieci uwięzła bądź ugrzęzła. Przeszłość domaga się prawdy o sobie. Nie mówcie zatem, że nie wiadomo, czym jest prawda. Mądry Arystoteles powiada: „Prawda to sąd zgodny z rzeczywistym stanem rzeczy, którego ten sąd dotyczy”.

* * *

Niestety, wciąż dość powszechnie utrzymuje się zadawniony pogląd, że powieść historyczna – wypada wtrącić, iż w oczach wielu miałaoby to być rzekomo właściwa przypisywana jej rola i główne zadanie do spełnienia – powinna nas oderwać, unieść i przenieść w dziedzinę ułudy. Czyli hulaj dusza bez kontusza, wolno w niej bajać i bujać, byle całość służyła pokrzepieniu.

Krzepić. Rola w sam raz odpowiednia i zadanie ponoć właściwe, jeśli dzieło powieściowe żywi się i syci tylko iluzją wiarygodności. *Se non è vero...*⁵. To zaś usprawiedliwienie miałoby z kolei udzielać samej powieści i jej autorowi rzekomego prawa do tego, by przedstawiać tak czy inaczej zmyślony, fantastyczny, bywa że całkiem nierealny obraz tego, co opisuje i o czym opowiada.

Pisz tak, żeby twoja opowieść podtrzymywała na duchu i umacniała tych, co po nią sięgną. Właśnie po to ma ona istnieć i tylko temu służyć? Czy to jej jedyny cel i nieodzowna funkcja? Cóż, jeśli tak, wypada dodać, że w takim razie stoi za tym bardzo uproszczone mniemanie. Co

⁵ *Se non è vero, è ben trovato* – wł. jeżeli nieprawdziwe, to dobrze zmyślone, powiedzenie przypisywane Giordano Bruno.

gorsza, osłabiające czy wręcz paczące sens powieściopisarstwa – nie tylko zresztą historycznego – i odbierające mu podstawową rację istnienia.

Powieść, jak mityczny Anteusz, natychmiast gubi swą moc, gdy traci kontakt z gruntem rzeczywistości – z jej zakotwiczeniem w ziemskim i ludzkim tu i teraz. Dodajmy: zarówno dzisiejszym, jak i minionym. Grunt ten realnym czyni bowiem za każdym razem materia przeszłości, zawarte w niej rzeczywiste zdarzenia – *terra nostra incognita*, z której tryska źródło opowieści.

* * *

Wolno więc nam zmyślać i konfabulować wokół tego, co się niegdyś w dziejach wydarzyło czy nie? Oczywiście, że wolno. Kwestia tylko na ile? Jako czytelnik lubię, a bywa, że z zachwytem adoruję urzeczony nią w lekturze, fikcję historyczną przyssaną do rzeczywistości, jak niemowlę karmione matczyną piersią. To stan naturalny od dawna występujący w przyrodzie tworzenia rozmaitych obrazów tego, co przeminęło.

Wizja literacka przedstawia i przyswaja daną przeszłość inaczej niż jawi się ona w traktacie historycznym. Zmyślenia w niej zawarte mają tę zaletę, że pozwalają wypowiedzieć, wyrazić i przekazać myśli bez dowodu. Pozbawione go, a mimo to przecie wyposażone w refleks prawdziwości. W odróżnieniu od naukowej rozprawy, fikcji osnutej wokół przeszłości o wiele więcej wolno, włącznie ze swawolą konfabulowania i igraszkami autorskiej fantazji.

Jednocześnie, fikcja historyczna wcale nie musi zaprzeczać faktom ani od nich stronić. Nie na tym wcale polega właściwa jej rola. Przeciwnie, konfrontując się z nimi, okazując im należny szacunek, odkrywając i eksponując na różne sposoby materię minionych zdarzeń, przenikając i docierając w nią głęboko, potrafi działać na ich korzyść. Osiąga zamierzony cel nie przez odejście i oderwanie od faktyczności, lecz poprzez maksymalne zbliżenie do niej: możliwe dzięki pracy wyobraźni i spotęgowaniu środków ekspresji, jakimi operuje.

Mit historyczny w ten czy inny sposób zawsze trzyma się swymi korzeniami rzeczywistości, wynika z niej i czerpie soki z jej gruntu. Dlaczego? Na pytanie to istnieje wiele możliwych odpowiedzi. W świetle jednej z nich dlatego, że stanowi on wyraz skrywanych i jawnych ludzkich pragnień, a także zapis rozmaitych psychospołecznych traum. Te zaś jak zawsze biorą początek z bólu istnienia jednostki oraz okaleczeń i fantomatycznych cierpień zbiorowości z reguły wywołanych niedostatkiem tego, co rzeczywiste (czytaj: boleśnie prawdziwe).

SŁOWA KLUCZOWE:

HISTORIA

poetyka

przeszłość

narracja

ABSTRAKT:

Studium zawiera próbę ponownego rozpoznania splotu relacji pomiędzy przeszłością, historią i mitem historycznym, ujmowanych interdyscyplinarnie: w perspektywie narratologicznej, kognitywistycznej i antropokulturowej. Autor dokonuje redefinicji problematyki zależności łączących i dzielących terminy „przeszłość”, „historia” i „mit”, wskazując na odmienność poetyki różniących się między sobą sposobów i form narracji historycznej oraz poznawczą użyteczność kategorii znaku, struktury semantycznej i funkcji znaczeniowej w refleksji badawczej nad wszelkiego rodzaju artystycznymi i nieartystycznymi przekazami dotyczącymi przeszłości.

nauka

sztuka

metodologia

mit

NOTA O AUTORZE:

Marek Hendrykowski – filmoznawca, medioznawca, semiotyk, badacz kultury współczesnej, profesor zwyczajny w Instytucie Filmu, Mediów i Sztuk Audiowizualnych UAM w Poznaniu, autor artykułów i książek, między innymi: *Film jako źródło historyczne* (1999), *Semiotyka twarzy* (2017), *Scenariusz filmowy – teoria i praktyka* (2017), *Drugie wejrzenie. Analizy i interpretacje* (2018), *Ogród Europy. Eseje z semiotyki i antropologii kultury Starego Kontynentu* (2018), *Polska szkoła filmowa* (2018), *Short. Małe formy filmowe* (2019), *Narracja w filmie i ruchomych obrazach* (2019). Założyciel i redaktor senior czasopisma „IMAGES. The International Journal of Film, Performing Arts and Audiovisual Culture”.